

Wolność nauki



foto: Rafał Guz/Fotozepa

Rozmowa z prof. Krzysztofem Selmajem, kierownikiem Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi

Panie profesorze, występuje pan jednocześnie w wielu rolach, proszę powiedzieć, czy czuje się pan bardziej naukowcem, lekarzem czy menedżerem?

Menedżerem czuję się najmniej. Lekarzem i naukowcem jestem na równi i nawet trudno te funkcje rozdzielić, bo przecież każdy lekarz powinien poszukiwać nowych spo-

sobów leczenia – dzięki temu rozwija się współczesna medycyna. Tak jest na świecie, na przykład w Stanach Zjednoczonych lekarze uniwersyteccy muszą pracować naukowo. Tylko w Polsce przed laty stworzono sztuczny podział na praktyków i naukowców. Tymczasem związek między tymi zawodami jest bardzo bliski.

Jak te role wzajemnie na siebie wpływają?

Zajmując się chorymi, widzimy braki wiedzy, stykamy się z sytuacjami, kiedy nie możemy pomóc pacjentowi. Praktyka lekarska wyraźnie uwypukla te problemy i stymuluje, żeby w pracy naukowej je podjąć i próbować rozwiązać. Nie powiedziałbym jednak, że praca naukowa pomaga mi w zarządzaniu. Systematyczne zarządzanie oznacza przestrzeganie zasad i stosowanie procedur. Tymczasem w nauce procedury trzeba czasem łamać, zaproponować coś niekonwencjonalnego.

Musi pan jeszcze przekonywać decydentów, że pana badania służą pacjentom i warto je dofinansować?

Nigdy nie rozmawiałem z żadnym decydem bezpośrednio. Pieniądze na badania naukowe pozyskuję w konkursach, do niedawna ogłaszały je ministerstwa nauki i szkolnictwa wyższego oraz administracji i cyfryzacji. Od zeszłego roku mamy Narodowe Centrum Nauki. Jest jeszcze Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Na szczelbu europejskim funkcjonuje Komisja Nauki Unii Europejskiej. Działają Fundacja Nauki Polskiej i fundacje biznesowe, z których największą jest Naukowa Fundacja Polpharmy. Kiedy przystępuję do konkursu, muszę wierzyć w swój projekt. Przekonanie autorów weryfikuje się w systemie ocen, w procesie recenzenckim. Powiedzmy sobie szczerze: ten system jest zawsze subiektywny, recenzentów jest dwóch, trzech. Być może dlatego, że mamy niewielu specjalistów w niektórych dziedzinach, zdarzało się, że otrzymywałem dziwne oceny. Pewnie włożę kij w mrowisko,

ale uważam, że system recenzencki w Polsce nie jest optymalny. Zbyt dużą rolę odgrywają czynniki pozamerytoryczne.

Czy ocenia pan, że funduszy budżetowych jest wystarczająco dużo?

Ministerstwo Zdrowia finansuje uczelnię, która dzieli pieniądze, więc na działalność podstawową uzyskujemy fundusze statutowe z uczelni i one są bardzo skromne. Zapewniają egzystencję jednostki naukowej, ale żadnych ambitnych badań się z nich nie sfinansuje. Dlatego staramy się o granty instytucji państwowych, jak wspomniane już Narodowe Centrum Nauki, w mniejszym stopniu Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Oczywiście, zawsze będę mówił, że tych pieniędzy jest za mało, bo nie dość, że Polska przeznaczająca na naukę mniejszy odsetek PKB niż inne kraje europejskie, to jeszcze nasz dochód narodowy też jest stosunkowo niski, więc netto kwota przeznaczana na badania nie jest zadowalająca. Fundacje związane z biznesem pełnią rolę uzupełniającą wobec środków budżetowych. Działalność Naukowej Fundacji Polpharmy jest bardzo pożyteczna, ale liczba grantów, których może ona udzielić, też jest przecież ograniczona. W Polsce brakuje badań aplikacyjnych na średnim poziomie, które umożliwiłyby powstanie pierwowzoru – praleku.

A co udało się zrobić dzięki grantowi Naukowej Fundacji Polpharmy?

Ostatni grant dotyczył poszukiwania genów związanych z rozwojem demielinizacji, czyli między innymi stwardnienia rozsianego. Uzyskane wyniki niewątpliwie przyczyniają się do poszerzenia wiedzy. Na bazie odkrytych wcześniej 14 genów odpowiedzialnych za demielinizację można teraz budować mechanizmy wyciszania genu, jeżeli był nadmiernie zaktywowywany, albo pobudzania go, jeżeli był wyciszony, i tworzyć projekty aplikacyjne.

To znaczy, że te badania będą kontynuowane?

Grant Polpharmy pomógł nam na pewnym etapie długoterminowego projektu naukowego, który dotyczy badania związków danej patologii, w tym demielinizacji w obrębie centralnego układu nerwowego, z charakterystyką genową. Kolejnym wyzwaniem jest transdermalny sposób leczenia stwardnienia rozsianego, aplikacja antygenów przez plastry. Prowadzimy badania, ale żeby stworzyć lek, będziemy potrzebowali współpracy podmiotu zewnętrznego.

Gdzie przebiega linia demarkacyjna między finansowaniem rozwoju badań a obawą o to, że lekarze znajdą się pod nadmiernym wpływem branży farmaceutycznej?

To jest trudne zagadnienie, ale nie wolno wylewać dziecka z kąpielą. Dzisiaj rola firm farmaceutycznych jest nie do zastąpienia, dlatego że

„ Firmy farmaceutyczne od zawsze wspierają lekarzy. Najważniejsze, żeby to się odbywało na przejrzystych i uczciwych zasadach ”

nie ma możliwości wprowadzenia nowego leku bez badań przedklinicznych, a potem klinicznych, które pozwolą jednoznacznie wykazać, że jest on skuteczny. Współczesna medycyna opiera się na dowodzie naukowym (*evidence based medicine*), nie wystarczy przekonanie ani mała próbka pacjentów, którzy dobrze reagują na lek, należy zrobić bardzo wiele badań wymagających udziału setek, a nawet tysięcy pacjentów, skomplikowanej metodyki, potem wszystkie dane trzeba przeanalizować. To powoduje, że koszty wprowadzania leku są ogromne i tylko firmy farmaceutyczne stać na ich finansowanie. Lekarze nie tylko uczestniczą w badaniach, ale muszą mieć aktualną wiedzę o nowych lekach i dlatego firmy farmaceu-

tyczne od zawsze wspierają lekarzy. Najważniejsze, żeby to się odbywało na jasnych, przejrzystych i uczciwych zasadach.

Ma pan również osiągnięcia międzynarodowe, o czym świadczą np. publikacje w prestiżowym „Nature”. Ciekawa jestem, jak pan ocenia zdolność polskich naukowców do pozyskiwania pieniędzy z 7. Programu Ramowego.

To jest nieco skomplikowany temat, bo w Unii Europejskiej pieniądze pozyskuje się na trochę innych zasadach niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie można napisać indywidualny projekt, który Narodowy Instytut Zdrowia ocenia w konkursach. W Unii Europejskiej natomiast kładzie się nacisk na wartości dodane do nauki, określane jako „społeczna wartość dodana” czy „unijna wartość dodana”. Robi się preselekcję tematów, wybiera się tematy preferencyjne,

więc to w znacznym stopniu politycy decydują, w co zainwestować. Trudno wówczas mówić, że nauka jest zupełnie wolna, bo nawet jeśli mamy bardzo dobry pomysł, ale nasza dziedzina nie jest akurat preferowana, musimy czekać nawet dwa lata na konkurs, w którym będziemy mogli wystartować, albo naginać nasz projekt, żeby się zmieścić w kryteriach. W UE powinno się zlikwidować bariery administracyjne, preselekcyjne przy konkursach, żeby można było zgłaszać nowatorskie projekty. W nauce bardzo ważna jest wolność myślenia. Nawet nierealne z pozoru pomysły mogą doprowadzić do przełomu i do postępu.

Rozmawiała Dorota Bogucka